

Rasizm, panowanie i rewolucja

7 grudnia 2008

Boliwia, w której do władzy doszła wreszcie rdzenna, indiańska większość społeczeństwa, wciąż jest obiektem ataków ze strony białej oligarchii, która dotychczas niepodzielnie rządziła tym krajem.

„Problem z Boliwią jest taki, że ten kraj przechodzi przez proces reform, nie wykraczając przy tym poza ramy demokratyczne, lecz zarówno opozycja, jak i rząd, działają, jak gdyby miały do czynienia z rewolucją”, stwierdził Marco Aurelio García, jeden z głównych doradców do spraw zagranicznych brazylijskiego prezydenta Luli.

Pozwolę sobie nie brać tych słów dosłownie, lecz ironicznie. García, mimo iż to człowiek inteligentny i dobrze poinformowany, za nic nie jest w stanie zrozumieć, że jeśli obie strony konfrontacji w Boliwii uważają, że mają do czynienia z rewolucją, to jest to najlepszy dowód, że istotnie tak jest. Z kolei wiceprezydent Álvaro García Linera mówi o „rozroście elit, rozroście praw oraz redystrybucji bogactwa. W Boliwii oznacza to rewolucję”.

Ma rację. W Boliwii już samo to byłoby rewolucją, taką jak ta w Nikaragui w 1979 r. Lecz dzieją się rzeczy o wiele głębsze i dalej idące niż zmiany wśród elit, w polityce, w gospodarce. Pod znakiem zapytania postawione zostają środki historycznego panowania owych elit – starych i nowych. To jak najbardziej oddolny proces, wynik zadawnionej wściekłości, i nie powstrzymają go masakry dokonywane łapskami faszystów, ani też nie powstrzymają go kruche porozumienia rządowe z prefektami.

Masakra w Pando i śmierć ponad 30 chłopów, zarżniętych z zimną krwią przez bojówki białej mniejszości, przerażające sceny upokorzenia, bólu i sponiewierania rdzennej ludności na głównym placu Sucre i na ulicach Santa Cruz de la Sierra przez

bandy faszystowskich wyrostków – to wszystko świadczy dobitnie, że biała mniejszość doskonale zdaje sobie sprawę, o co chodzi w tej grze: jej władza jest bezdyskusyjna, własność ziemska nietykalna, kartka wyborcza nie znaczy nic, skoro kolor skóry daje tytuł do rządów despotycznych. Biała mniejszość ani myśli „podzielić się” swymi despotycznymi prawami – ani myślą o tym również ci, dla których kolor skóry stanowi jedyny „akt własności” i odseparowuje ich od Indian. Tym bardziej biali ani myślą o podziale własności i bogactwa.

* * *

Boliwijska prawica, stare i całkiem nowe elity, właściciele ziemi oraz życia i śmierci, wszyscy oni zaznali klęski z rąk powstających mas, przede wszystkim rdzennej ludności, których potężny ruch zapoczątkowany został wojnami o wodę w 2000 r., znalazł swą kulminację w rebelii El Alto w październiku 2003 r., i wreszcie rozwiązanie w dojściu do władzy prezydenta Evo Moralesa w styczniu 2005 r. Nowa konstytucja – poddana pod referendum – pomyślana została, tak jak inne posunięcia rządu Boliwii, jako krok ku wzmocnieniu nowego rządu na płaszczyźnie sądowniczej, politycznej i gospodarczej.

Proces ten zyskał kolejną legitymację ze strony przytłaczającej większości Boliwijczyków w referendum 10 sierpnia 2008 r.; 67 procent głosów – ponad dwie trzecie, a wśród społeczności Altiplano 85 procent! Sprawująca panowanie biała mniejszość wszczęła rewoltę we wschodnich prowincjach, w brutalny i nieokrzesany sposób stawiając wyzwanie wynikom ogólnokrajowego głosowania oraz grożąc secesją.

Owa mniejszość doskonale zdaje sobie sprawę, że nie chodzi jedynie o „naprawę i powiększenie zakresu demokracji”, lecz o rewolucję, stawiającą pod znakiem zapytania władzę i przywileje mniejszości, całe „strukturalne dziedzictwo” jej despotycznych rządów. Rewolucja należy zatem do momentów kulminacyjnych, podczas których ludowy ruch powstańczy uderza w same podstawy owego panowania, tak by je strzaskać, i

pozostaje zdolny rozpoznać linię graniczną, wyznaczającą panowanie w danym społeczeństwie.

To nie linia oddzielająca rządzących od rządzonych, to nie kwestia polityczna; to natomiast linia oddzielająca panujących od podporządkowanych. Rewolucja społeczna w swym klasycznym znaczeniu to obalenie owego społecznego panowania – i to nie tylko panowania politycznego czy ekonomicznego.

Ta linia wrzyna się w krajobraz Boliwii ostro i głęboko. To nie tylko panowanie klasowe, choć nie da się mu zaprzeczyć. Nade wszystko to panowanie rasowe, ukształtowane w czasach kolonialnych, zaś od 1825 r. potwierdzone na nowo przez oligarchiczną Republikę.

Panowanie to oznacza rezerwację pełnych praw obywatelskich dla białych i zasymilowanych metysów. Aby stać się obywatelem, Indianin musi przestać być Indianinem oraz zacząć postrzegać się i być postrzeganym jako biały; zerwać ze swą własną wspólnotą historyczną – Ajmarów, Keczua, Guaranów, czy wielu innych rdzennych społeczności w Boliwii; i stać się świeżo upieczonym rekrutem do abstrakcyjnej wspólnoty obywateli Republiki. I niech nie oczekuje, że to Republika ma się zmienić na obraz i podobieństwo jego ludu. To jego lud, jego mężczyźni i kobiety, ma porzucić swą tożsamość i historię, i stać się na obraz i podobieństwo białych, bogatych, wykształconych i mówiących po hiszpańsku – choć koloru skóry i tak nie da się wymazać, i na wieki wieków skaże indiańskich mężczyzn i kobiety na rolę obywateli drugiej kategorii. Oto natura panowania.

* * *

Rewolucja w Boliwii swe siły i soki żywotne czerpie z prastarej cywilizacji, startej z tablic prawa, lecz ciągle żywej dzięki językom, zwyczajom, wierzeniom, związkom solidarności i społecznościom, które przetrwały tak na wsi, jak i w mieście. Poddani dominacji czerwonoskórzy nie przybyli

tu z żadnych innych ziem. Byli tu już wcześniej, byli, są i pozostaną rdzenną cywilizacją. Jorge Sanginés nazwał ją w swym niezapomnianym filmie „tajemnym narodem”, Guillermo Bonfil – „głębokim Meksykiem i wypartą cywilizacją”. Idąc ich śladem, w swej książce „Historia a contrapelo” nazwałem ją „cywilizacją podporządkowanych”.

Tajemna, wyparta, podporządkowana, owa społeczna i kulturowa sieć rdzennych cywilizacji właśnie się objawia – w powstaniach i buntach ich spadkobierców i kultywatorów, których korzenie są równie głębokie jak korzenie panowania rasowego.

Siła żyje też w dziedzictwie owej sieci zdominowanych i podporządkowanych, wzniecających bunt, by wywalczyć wszystkie prawa, jakich odmawia im bądź ogranicza państwo rasowe: godność i szacunek, przestrzeń wolności i organizacji, zasoby naturalne ich kraju, edukację, opiekę zdrowotną, wszystko, co określa społeczne ramy Republiki Równych.

Podczas takich buntów stare republikańskie hasło „wolność, równość, braterstwo” przerasta w hasło „ziemia, sprawiedliwość, solidarność”. W takich miejscach nie ma mowy o wolności bez redystrybucji ziemi, nie ma mowy o równości bez powszechnej sprawiedliwości, nie ma mowy o braterstwie bez solidarności między najróżniejszymi społecznościami oraz bez solidarności całej społeczności owego narodu narodów, jakim jest Boliwia.

Nie chodzi tylko o nowy porządek polityczny i gospodarczy. Chodzi o to, co określi ów nowy porządek społeczny w wypadku Boliwii. To stąd bierze się przemoc ze strony uprzywilejowanych mniejszościowych grup i ich bojówek – w stanach Pando, w Santa Cruz, w Chuquisaca.

Cała Boliwia, szczególnie zaś Boliwia rdzennej ludności i klasy robotniczej, która przytłaczająco zwyciężyła w referendum, ujrzała ową morderczą przemoc wymierzoną w jej braci i siostry w telewizji, jak też usłyszała o niej w radio.

Boliwijczycy ujrzeni obrazy, lepiej niż najlepsze przemówienie ukazujące to, co zdążyli poznać na własnej skórze i co poznali ich ojcowie i dziadowie. W kolorze, na ekranie TV, mogli przeżywać zagrożenie powrotem przeszłości.

Nie pozwolą na to. Mają dość doświadczenia, dość są zorganizowani, by zdołali odpowiedzieć przemocą na przemoc ich gubernatorów, których oczekują, lecz którym również stawiają żądania, by nie zatrzymali się i ukarali zbrodniarzy – oto jedyna sensowna i skuteczna rewolucja w obliczu obecnych negocjacji między walczącymi stronami.

* * *

Wyrzucenie ambasadora Waszyngtonu, który spiskował wraz z rasistowską prawicą, pomogło pokazać tej ostatniej, gdzie jest jej miejsce. Lecz jej nie powstrzymało. Prezydenci państw Ameryki Łacińskiej podczas szczytu w Santiago de Chile wyrazili swe poparcie dla Evo Moralesa i pozbawili próżnych nadziei zwolenników puczu. Ale ani nie odebrali im broni, ani nie związali im rąk: ciągle mają oni w tych krajach swych sojuszników.

Lecz nie tylko rządy rozgrywają karty. W Boliwii mobilizują się organizacje rdzennej ludności i klasy robotniczej, we wschodnich prowincjach i w dolinach – niektóre z nich dosłownie znajdują się na wojnie. Nie widzą warunków, by spasować, by starać się klajstrować sytuację przy stole negocjacyjnym, gdzie po jednej stronie zasiada rząd, po drugiej zbrodniczy prefekci.

W oświadczeniu Wielkiego Ludu Czikitów ze wschodnich prowincji, wystosowanym 15 września, czytamy, że „nasza tolerancja znalazła swój kres, odżył zaś instynkt samozachowawczy i gniew Ludu Czikitów, którzy walczyć będą z zaciętością o swą Ziemię, Godność i Rdzenną Autonomię”. Postanawiają zatem „potwierdzić swą konsekwencję oraz niezłomną walkę w obronie zdobytych osiągniętych w ciągu

nieprzerwanego procesu, w tym w obronie naszych historycznych żądań. [...] Nie będziemy zatem już nigdy więcej sługami ani niewolnikami oligarchii i właścicieli ziemskich Santa Cruz!"

W wydanej 17 września deklaracji Organizacji Społecznych Wschodniej Boliwii znalazło się żądanie, by „parlament i rząd krajowy nie zmieniały nic w nowej Konstytucji Politycznej Państwa, uzgodnionej 9 grudnia 2007 r. w Oruro, w szczególności zaś pozostawiły bez zmian rozdział o autonomii, gdyż umieszczono tam i wyrażono podstawowe żądania ponad 25 lat walki. Tak jak nasi polegli bracia i siostry upokorzeni i prześladowani, wołamy i idziemy naprzód, gotowi umrzeć za nasze wyzwolenie i za wyzwolenie całego narodu boliwijskiego”.

Komitet Koordynacyjny Rdzennej Ludności w Santa Cruz, również 17 września, wystosował alarm: „Ci, którzy napadli na nasze biura, zostali nasłani i opłaceni przez spekulantów ziemią i wielkich właścicieli ziemskich, ciemieżców naszych rdzennych braci i sióstr, przez prefekta, burmistrza, komitety obywatelskie, sprzeciwiające się naszym historycznym żądanom, wyrażonym w Nowej Konstytucji Politycznej: żądanom autonomii terytorialnej dla rdzennej ludności, bez podporządkowania jakiegokolwiek władzy regionalnej, co pozostaje niezbywalne i wobec tego stanowi podstawę wyzwolenia narodowego”.

Wobec tego, starcia w Boliwii świadczą o rewolucji – jej twórcy i zwolennicy nie zamierzają się poddać, nie zamierzają jej negocjować, bez względu na cenę, bez względu na to, ile przemocy zastosują właściciele ziemscy i rasiści. Zapewne nieprędko to znajdzie swój koniec. Lecz tak jak w październiku 2003 r., jeśli tylko nie zakryją białą flagą swych celów, rozwiązanie znajdzie się na ulicach i na wsiach. To jedna z przyczyn zaalarmowania rządów w krajach graniczących z Boliwią.

Autor: Adolfo Gilly

Tłumaczenie: Paweł Michał Bartolik

Źródło: [Trybuna Robotnicza](#)